

An abstract painting of a forest scene. The composition is dominated by vertical strokes of various shades of blue, ranging from deep navy to light sky blue. These strokes are interspersed with horizontal and diagonal strokes of brown, tan, and ochre, creating a sense of depth and texture. The overall effect is reminiscent of a dense forest with sunlight filtering through the trees, though the style is highly expressive and non-representational.

Sofia McTell

**BURSZTYNOWA
GÓRA**

Obsesja stworzenia doskonałego scenariusza filmowego pochłania Sofię bez reszty. Każda ze scen jest dla niej próbą rozliczenia się z przeszłością, w której główną rolę odgrywa utracona przyjaciółka. Gdy Mia wyrasta z relacji mistrz-uczeń i decyduje się coraz odważniej sięgać po marzenia, wieloletnia przyjaźń z Sofią zaczyna rozpadać się pod ciężarem oczekiwań i niewypowiedzianych żali. Jej bolesne zakończenie pozostawia po sobie posmak zdrady, której nie sposób wymazać z pamięci.

Najbliższe osoby potrafią skrywać największe sekrety – czy odważysz się je odkryć?

Bursztynowa Góra to historia o skomplikowanej relacji dwóch kobiet, poszukiwaniu tożsamości zmieniającej się wraz z upływem czasu, a także odkrywaniu własnych i cudzych granic. Miłość i przyjaźń mogą przyjmować różne formy, a psychologiczne zawilości między bohaterkami demaskują, jak mało wiemy o uczuciach, które wydają się niepodważalne.

Sofia McTell

BURSZTYNOWA GÓRA



Redaktorka prowadząca: Agata Sikorska-Olszowa

Redakcja: Magdalena Chrobok

Korekta: Hanna Jaskuła

Projekt okładki: Marcin Dolata

Skład i łamanie: Olga Dziuba

Na okładce wykorzystano reprodukcję obrazu

Gustava Klimta *Brzozowy las*

Źródło: [https://commons.wikimedia.org/wiki/File:](https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Gustav_Klimt_-_Beech_Grove_I_-_Google_Art_Project.jpg)

Gustav_Klimt_-_Beech_Grove_I_-_Google_Art_Project.jpg

Copyright © by Sofia McTell 2026

Copyright © by Sorus® 2026

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości
bądź fragmentów niniejszego dzieła bez pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

ISBN 978-83-67139-60-1 książka

ISBN 978-83-67139-61-8 e-book

Wydanie I, Poznań 2026

Printed in Poland

Twoja opinia jest dla nas ważna! Zachęcamy do podzielenia się wrażeniami
po lekturze tej książki i dodania swojej oceny: www.sorus.pl/opinia

Masz pomysł na książkę lub gotowy tekst? Opublikuj swoje dzieło ze wsparciem
wydawnictwa i dołącz do grona naszych autorów: www.sorus.pl/dlaautorow

Wydawnictwo Sorus

DM Sorus sp. z o.o.

ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań

tel. +48 61 653 01 43

e-mail: sorus@sorus.pl

Księgarnia internetowa: www.sorus.pl/sklep

 www.sorus.pl

 [dmsorus](https://www.facebook.com/dmsorus)

 [wydawnictwosorus](https://www.instagram.com/wydawnictwosorus)

*Wszystkim, bez których
ta powieść nigdy by nie powstała,
dziękuję za wiarę, nadzieję i miłość.
Tę ostatnią można wyrazić
za pomocą słów albo czasu i uwagi.
Najsmakowitszą jej formą jest
jednak bez wątpienia tort mokka.*

„Fikcja jest zawsze jakimś rodzajem prawdy”.
Olga Tokarczuk,
Czuły narrator (wykład noblowski)

„You must stay drunk on writing
so reality cannot destroy you”.
Ray Bradbury, *Zen in the Art of Writing*

„In the end, we'll all become stories”.
Margaret Atwood,
Moral Disorder and Other Stories

„Love is never wasted, for its value does not
rest upon reciprocity”.
C.S. Lewis

„We ran about the meadow grass
with all the harebells bending
And shaking in the summer
wind a summer never-ending
We wandered to the little
stream among the river flats
And I remember willow trees
I remember willow trees
I remember willow trees
And you remember gnats”.
Molly Drake, *I remember*

CZĘŚĆ 1: SOFIA

I

Druga sesja

„PLENER. ULICA W MIEŚCIE — DZIEŃ

Zbliżenie samochodu. Za kierownicą siedzi BLONDYNKA (40 lat). Zbliżenie twarzy. Wysiada z auta. W ręce trzyma grubą teczkę. Swobodnie przechodzi przez jezdnię i zatrzymuje się naprzeciwko furtki w ogrodzeniu. Jest otwarta. Staje przed secesyjnym wejściem do starej kamienicy. Dopiero stąd widać miniaturowy ogródek ukryty wewnątrz podwórka jak w medalionie. Kobieta sięga do domofonu. Jednak w ostatniej chwili cofa rękę. Nad dzwonkiem z numerem 2 brakuje tabliczki z napisem „Gabinet psychoterapii”. Kiedy spostrzega STARUSZKĘ podlewającą kwiaty w oknie na parterze, zwraca się bezpośrednio do niej.

BLONDYNKA

Dzień dobry. Przepraszam, szukam...
Chodzi mi o ośrodek psychoterapii.

STARUSZKA

Tam nikogo nie ma.

BLONDYNKA

To znaczy?

STARUSZKA

(grzecznie, a jednocześnie oficjalnie)

Ośrodek został zamknięty.

(tonem, który zdradza osobiste zaangażowanie
i chęć pomocy)

Czy mogę coś dla pani zrobić?

BLONDYNKA

(zmieszana)

Nie... To znaczy, chciałam tylko coś przekazać.

STARUSZKA

Rozumiem... Przykro mi, ale ta psycholożka
chyba gdzieś wyjechała.

BLONDYNKA

Nie ma pani do niej żadnego kontaktu?

STARUSZKA

Nie. Czasami się tu pojawia, więc możemy
się umówić, że jak ją spotkam, to jej przekażę,
co trzeba. Proszę na mnie poczekać na dole.

Zaraz do pani zejdę, ale to chwilę potrwa,
bo mam problem z biodrem”.

— Taki jest początek. I co pani o tym sądzi? — pytam,
przebierając nerwowo palcami w znoszonych teni-
sówkach. W głowie mam pustkę. Tak się zdarza, kiedy
się denerwuję. Czuję się nieswojo, mając pod noga-
mi włochaty dywan, który przywodzi mi na myśl
biskoptową sierść naszego psa Dextera. To absur-
dalny pomysł, aby kupować taki dywan do gabinetu,
gdzie co godzina pojawia się nowy pacjent w butach,

w których spacerował po plaży, przedzierał się przez zasy, brodził w kałużach lub grzązał w błocie. Wyobrażam sobie te wszystkie rodzaje obuwia, które odwiedziły ten gabinet: trampki, adidas, półbuty, mocno sfatygowane buciory, kalosze, glany, mokasy, sandały na obcasie, pantofelki i kozaczki...

— Sama nie wiem... A co to właściwie jest? Niby fikcja, jednak, rzecz jasna, rozpoznaję zarówno miejsce, jak i bohaterki.

Nadal z uporem patrzę pod nogi. W jej głosie słyszę przyjazną nutę. Czy to zaproszenie do złożenia wyjaśnień? Niechętnie podnoszę oczy. Przyglądam się z wyteżoną uwagą, więc, żeby nie zgubić wątku, szybko wracam do obserwacji psiego futra na podłodze. Bez wątpienia zanotowała sobie fakt, że uparcie uciekam od jej ciężkiego od mascary spojrzenia.

— Na naszym pierwszym spotkaniu wszystko wyjaśniłam — mówię pewnym siebie głosem, dla odmiany patrząc jej teraz prosto w oczy. Pani Ska jest zgrabną i dobrze ubraną brunetką. Takie kobiety życzliwi określają jako „przystojne”. Ma jakieś trzydzieści parę lat, ale równie dobrze może być moją rówieśniczką. Zadbana, elegancka, w zamszowych kozaczkach. Kto nosi kozaki latem?! Są zupełnie nowe. Przyszła tu prosto ze sklepu obuwniczego? Trudno zignorować fakt, że idealnie pasują do kremowego dywanu. Wciąż rozmyślam o jej „obuwiu służbowym”, kiedy wrywa mnie z zadumy:

— Tak, pamiętam, co pani wtedy powiedziała. Chciałam się tylko upewnić. Rozumiem, że to fragment pani scenariusza — mówi z uprzejmym uśmiechem.

— Podoba się pani? — pytam wprost i drżę z podniecenia. Staram się jednak niczego po sobie nie pokazać.

Zapada cisza, która sprawia, że zasycha mi w gardle.

— Jest dość... krótki — odpowiada w końcu pani Ska, ważąc słowa. — Jednak, jak już wspominałam, zarówno bohaterki, jak i miejsce są mi znane. — Po chwili dodaje: — Widzę, że w wolnym czasie bawi się pani we wróżkę.

— Wróżkę? — powtarzam zaskoczona.

Raptownie dociera do mnie niestosowność całej sytuacji. W ostatniej chwili powstrzymuję się, aby nie dotknąć policzków. Założę się, że są rozpalone. Nadrabiam elokwencją:

— Nie bawię się we wróżkę. Jeśli w ogóle się w coś bawię, to tylko w żonglowanie słowami i obrazami. W żadnym wypadku natomiast nie przewiduję upadku pani gabinetu. Przepraszam. Może powinienam była wybrać inną scenę.

— Czyli są też jakieś inne?

„Boże, czy to ironia?” — zastanawiam się i pośpiesznie się tłumaczę:

— Po drodze było kilka wersji, z których ostatecznie zrezygnowałam. Jedna liczyła kilkadziesiąt stron. Rzeczywiście, póki co niewiele tego jest. Resztę mam w głowie. Wystarczy spisać.

— Mam taką fantazję, że skoro wybrała pani tę sytuację na pierwszą scenę, to może coś jednak się za tym kryje.

„A niby co się ma kryć?” — próbuję znaleźć jakąś odpowiedź, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

— Zastanowię się, to ciekawa sugestia — rzucam odruchowo. Nauczyłam się tej zgrabnej,

niezobowiązującej formułki, pracując na uczelni. Nie raz ratowała mnie przed kompromitacją w oczach nadgorliwych studentów, którzy zadawali trudne pytania, lub pozwalała mi zachować twarz przed nadętymi profesorami. „Kusząca obietnica to w połowie wyświadczona przysługa. Dwa razy obiecać to jak raz dotrzymać. Zobaczysz, jak zyskasz w ich oczach. A kto cię z tego później rozliczy? Z doświadczenia wiem, że takie rzeczy puszcza się w niepamięć” — pouczyła mnie kiedyś starsza koleżanka z instytutu.

— Zasady naszej współpracy ustaliłyśmy na pierwszej sesji. To od pani zależy, jak będą wyglądać spotkania. Skoro czytanie na głos scenariusza pomaga pani w pracy, nie widzę przeszkód. Mam jednak głębokie przekonanie, że sama lektura pani tekstów nie wystarczy. Proces terapeutyczny wymaga szczerych rozmów. Dlatego chciałabym na bieżąco wiedzieć, co pani czuje i myśli. Czy możemy teraz o tym porozmawiać?

Z niechęcią obserwuję, jak jej wypiełgnowane dłonie z paznokciami w modnym w tym sezonie kolorze granatu sięgają po długopis i notatnik.

„Nie możemy” — odpowiadam jej w myślach bez wahania i wykrzywiam usta w jakimś nieokreślonym bliżej grymasie. Słyszę swój głos:

— Szczerze powiedziawszy, wolałabym skupić się na moim projekcie i o niczym więcej nie rozmawiać.

Pani Ska kwituje to jednym ze swoich terapeutycznych spojrzeń i naraz przypominam sobie, że od początku nie przypadła mi do gustu. Teraz żałuję, że się na nią zdecydowałam. Najwyraźniej nie mam szczęścia do psychoterapeutów. Jak na zawołanie widzę przed sobą galerię jej poprzedników,

których miałam nieprzyjemność poznać. Stoją żałośnie wyprężeni na baczność, jakby chcieli sprawiać wrażenie wyższych, niż byli w rzeczywistości.

Pierwszy był kurduplem o twarzy szakala. Nie wiele zapamiętałam poza tym, że na dzień dobry kęsał.

— Nie mogę tak żyć. Przez te moje natręctwa czuję się jak w klatce — wyjaśniłam, kiedy zapytał, dlaczego do niego przyszedłam.

— Nie czytasz zbyt dużo literatury fachowej? — rzucił z lekceważącym uśmiechem. Był znajomym ojca i od razu przeszedł na „ty”.

— Chciałabym rozpocząć terapię, chociaż domyślałam się, że będzie długa i bolesna.

— A kto ci takich bzdur naopowiadał, dziecko? — zapytał protekcjonalnie człowiek-szakal. Jednak było to pytanie retoryczne. W jego zmarszczonym od namysłu wysokim czole widziałam zapowiedź zwięzłej diagnozy, jaką niebawem zapisze w swoich służbowych notatkach. Protokół wizyty najwyraźniej zakładał wyznaczenie terminu następnego spotkania. Kiedy o nie zapytał, niepewnie odpowiedziałam, że muszę zajrzeć do Terminarza. Na co „lojalnie” ostrzegł mnie, że jeśli do niego nie wrócę, będę żałować.

— Masz poważne problemy psychiczne. Nerwice się leczy — stwierdził na koniec.

Drugi wybór był równie nietrafiony. Pani dr Teresa dwojga nazwisk także była znajomą ojca. Interesujący wydał mi się kontrast pomiędzy jej aparycją Cruelli (ze *101 dalmatyńczyków*) a sposobem bycia życzliwej cioci. Mówiąc, ani na chwilę nie przestawała się

uśmiechać. „Twierdzisz, że chłopak cię nie kocha. A skąd ta pewność? Założę się, że kocha, tylko pewnie nie umie tego wyrazić. Tak to już jest z facetami”. Potem przeszła do luźnej rozmowy na temat przyjaciół rodziców — jej byłych lub aktualnych pacjentów. W ten sposób dowiedziałam się wielu pikantnych szczegółów z życia jej krewnych i znajomych. Na przykład, że szefowa mojej matki była stałą bywalczynią szpitali psychiatrycznych.

Trzecią z poleconych osób był starszy pan psychiatra, co nie przeszkadzało mu bynajmniej zachowywać się tak, jak gdyby był moim kolegą. Zaraz po tym, jak skończyłam tłumaczyć, jaki jest cel mojej wizyty, zaproponował mi wypisanie recepty na antydepresanty. „Odkąd jestem na emeryturze, mam morze czasu, więc możesz do mnie przychodzić, kiedy tylko chcesz”. Dobrze zapamiętałam to „morze czasu”, ponieważ z jego okna rozciągał się widok na Zatokę Gdańską. W drodze do drzwi niezgrabnie mnie objął, a na pożegnanie próbował pocałować. Gdyby nie unik z mojej strony, dopiąłby swego. Nigdy więcej się z nim nie spotkałam. Zaraz po powrocie do domu napisałam list, w którym jednoznacznie ustosunkowałam się do jego wybryków. „Nie widzę możliwości kontynuowania terapii” — zakończyłam bezwzględnie. Nie odpisał. W mojej wyobraźni wszyscy ci terapeuci przyjęli formę ostateczną jak owady w szklanej gablocie. I pomyślałam sobie, że ludzki umysł bezlitośnie obchodzi się z otaczającym go światem, konserwując doznania, ludzi i zwierzęta w słoikach z etykietami. Pani Ska jako ćma? Nie, lepiej: rusałka osetnik.

II

Cienie

Sofia obudziła się przytłoczona poczuciem winy. Wgłębienie w poduszce, które pozostawił po sobie Adam, dawno ostygło, a jego porzucone na podłodze spodnie od piżamy układały się idealnie w znak nieskończoności. Po długim śnie zamiast wypoczęta, czuła się, nie wiedzieć czemu, zmęczona i nawet nie musiała patrzeć w lustro, by się upewnić, że pod oczami skupiły jej się wszystkie cienie z ostatniej nocy. Zwierzyła się Adamowi, że z niepokojem obserwuje, jak dwie symetryczne bruzdy łączące nos z kącikami ust pogłębiają się z roku na rok. Sprawiały, że częsty u niej w ostatnich latach wyraz żalu utrwalił się i w efekcie nawet w chwilach spokojnej zadumy jej twarz wydawała się smutna. Mogła polegać na Adamie. Jak zawsze zapewnił ją, że jest piękna i niepotrzebnie szuka dziury w całym. Na koniec dodał, że powinna się cieszyć, bo zmarszczki mimiczne to dowód, że dużo się śmieje. Oboje wiedzieli jednak, że to nieprawda. Atmosfera na przyjęciu z okazji jej trzydziestych dziewiątych urodzin była podszyta smutkiem. Domyślała się, że zaproszeni goście widzieli w niej piękną i spełnioną kobietę, która w niczym nie przypominała znajomego odbicia w lustrze.

Słońce patrzyło na świat z góry, prążąc bezlitośnie. Nie spieszyła się ze wstawaniem. Zbliżające się godziny budziły w niej niepokój. Kiedy cały

dzień był tak pusty i bezkresny jak wysokie, błękitne niebo, czuła się mała i bezradna. Powietrze stało nieruchome jak wskazówki zegara w pokoju gościnnym, którego nawet Adam nie potrafił uruchomić. Próbowwała sobie przypomnieć, jakie jest źródło żalu, który ją dławił. Zwlekała z zapisaniem ostatniego snu, chociaż wiedziała, że kiedy się tego nie zrobi od razu po przebudzeniu, marzenie senne rozwiewa się jak mandala z piasku na wietrze. Dlatego na wszelki wypadek trzymała swój Terminarz z notatnikiem koło łóżka. Przerzuciła kilkanaście stron zapisanych równym pismem. Nie bez trudu odnalazła poprzednio spisany sen: „Urodziłam trojaczki. To wydarzenie wprowiło mnie w zdumienie. Nie miałam wspomnień dotyczących ciąży ani rozwiązania, tak jakbym była nieobecna przy porodzie własnych dzieci. Próbowalam zrekonstruować przeszłość, rozmawiając z najbliższymi. »A widzisz« — powtarzałam Adamowi — »czułam, że tak będzie, że w ostatniej chwili, koło czterdziestki zostanę matką«. Wypytywałam go, jak się czułam przed rozwiązaniem, czy miałam duży brzuch i czy bardzo cierpiałam podczas porodu. Co ciekawe, rozmawiałam też na ten temat z krewnymi, z którymi w rzeczywistości wcale nie utrzymywałam kontaktu. Wyglądało na to, że udało mi się zająć w ciążę i ją donosić dzięki zastosowaniu jakiejś cudownej metody, chociaż nikt nie wiedział, na czym polegała. Mówiłam do Adama: »Kiedy przykładałam to (nie mam pojęcia, co to było) do podbrzusza, czułam, że tym razem musi się udać«. Chociaż zostałam matką, noworodków nigdzie nie było widać. Okazało się,

że nosiłam je nadal w brzuchu. Wszyscy mówili o tym bez większych emocji, jak gdyby zdążyli już przywyknąć do nowej sytuacji i nie było w niej nic nadzwyczajnego. Zastanawiałam się, jak sobie dam radę, ale miałam inne sprawy na głowie, więc odkładałam moment rozwiązania. Zamiast tego omawiałam z rodziną plany na nadchodzący weekend. Tata wyjeżdżał na konferencję. Adam gadał z mamą o jakichś pierdołach. Podobnie jak ja bagatelizowali sprawę porodu. Jednocześnie miałam cały czas świadomość, że niemowlęta trzeba będzie w końcu wydobyć z brzucha, umyć, ubrać i nakarmić. Adam był nieprzyjemnie zaskoczony wizją nowych obowiązków. Narzekał na brak czasu i problemy w pracy. Mieszkanie było tak zagracone, że nie miałam się nawet gdzie położyć. I nagle zobaczyłam te noworodki na stole kuchennym. Z niezrozumiałego dla mnie powodu włożyłam je do mikrofalówki. Przynajmniej wydaje mi się, że była to mikrofalówka. Kiedy je wyjęłam, przypominały połówki kurzego jajka na twardo inkrustowane miniaturowymi płodami. Mięso kolorem niczym nie różniło się od gotowanego drobiu. Dręczyło mnie poczucie winy. Nie powinnam była zwlekać z porodem. Wkładanie dzieci do mikrofalówki także nie było dobrym pomysłem. Adam był przejęty, chociaż jak zwykle nieobecny”. Nie potrzebowała sennika, żeby zrozumieć znaczenie tego snu. Dobrze pamiętała jego chłodną atmosferę i swoje odczucia zaraz po obudzeniu: dezorientację, poczucie winy, żal i samotność. Każda z osób, która pojawiła się w jej wyśnionym świecie, była zajęta swoimi sprawa-

mi. Klimat, treść i wydźwięk spisanego marzenia sennego nie odbiegał zasadniczo od snu z poprzedniej nocy. Więc może nie warto było marnować kolejnych kartek papieru. Zastanowi się nad tym. Może zdobędzie się nawet na ponowne przeczytanie snu o trojaczkach. Machinalnie zaznaczyła miejsce w Terminarzu, wkładając między kartki łyżkę. Była wylizana do czysta. Leżała na nocnym stoliku od czasu, kiedy Sofia wyjadła resztki Nutelli ze słoika. Lustro w łazience ukazało jej kobietę o smutnej, bladej twarzy. Wpatrywała się w nią beznamiętnie i z uporem. Ta twarz pozornie znajoma zawsze ją zaskakiwała. Raz wydawała się zbyt młoda, innym razem za stara, nigdy w sam raz. Pewien nawiedzony dermatolog powiedział jej kiedyś, że jego zdaniem skóra twarzy jest zwierciadłem duszy.

— Jak na dłoni widać, że twoja nadwrażliwa dusza, która codziennie narażona jest na działanie wielu niekorzystnych czynników, woła o ratunek — stwierdził z przekonaniem.

— Rozumiem. I gdyby sprzedawano balsamy i maści przeznaczone do pielęgnacji duszy, ja kupowałabym wyłącznie te dla duszy alergicznej i skłonnej do podrażnień?

Popatrzył na nią z niechęcią.

— Jak ci to powiedzieć w delikatny sposób? Człowiek z wiekiem wysycha. Pora zacząć pić więcej płynów i używać dobrych kremów.

Te wszystkie kremy, maści, krople, kapsułki, żele, balsamy i płyny. Kiedy jako licealistka wyjeżdżała na wakacje, do małej kieszonki plecaka wrzucała: szare mydło, szampon pokrzywowy,

uniwersalny krem do skóry Nivea w blaszanym pudełku, pastę tej samej firmy i szczoteczkę do zębów. Widok toreb podróżnych matki, których znaczną część wypełniały kosmetyki oraz bateria leków, zawsze wprawiał ją w przerażenie. A teraz i ją to czeka?

Uważnie wpatrywała się w bruzdy przy ustach, sprawdzając, czy nie pogłębiły się jeszcze bardziej. Z ulgą stwierdziła, że w świetle dziennym były niemal niezauważalne. Tymczasem kobieta o bladej twarzy, jasnych włosach w nieładzie i w kusej koszuli nocnej wpatrywała się w nią z takim uporem, że jej czoło zmarszczyło się z wysiłku. „Zmarszczki postarzają”, pomyślała, szybko przywołując twarz do porządku. Trwogą napełniała ją wizja poprzecznych linii na czole, teraz ledwie widocznych, które wraz z upływem czasu będą się pogłębiać. „Nie powinien tak późno chodzić spać... albo pić tyle kawy” — skarciła się w myśli. „A może wręcz przeciwnie, w ogóle nie powinienam chodzić spać, tylko pilnować twarzy?”

Zeszła na dół. Adam krzątał się po kuchni, przygotowując śniadanie. Kuchnia płynnie przechodziła w przestronną jadalnię, która łączyła się z salonem. Kupili ten dom, bo planowali dzieci.

— Zośka! — zawołał Adam, niezdarnie krojąc warzywa jedną ręką, podczas gdy drugą uzbrojoną w drewnianą łyżkę usiłował podrapać się po plecach.

— Co tak krzyczysz? Idę.

— Miałaś mi pomagać.

Jego słowa nie zabrzmiały jak zarzut, ale raczej jak zaproszenie. Kiedy odwrócony tyłem do jadalni

sięgał po oliwę, poczuł przyjemne ciepło obejmujących go od tyłu znajomych ramion. Ostrożnie odstawił butelkę na blat kuchenny, żeby odwzajemnić uścisk.

— Okład z Puchatka to to, co tygrysy lubią najbardziej — powiedział. Ocierał się jak kot, pomrukując z zadowolenia.

— A gdzie fartuszek? — zapytała Sofia.

— Nie chcę fartuszka. Tygrysy nie noszą fartuszków.

— Podrapać po plecach? — zapytała Sofia dobrze mu znanym głosem, który rezerwowała tylko na takie okazje.

Skinął głową.

Aby spełnić jego prośbę, musiała unieść do góry koszulę. Kiedy na bladym karku dojrzała zaczerwienioną skórę, zaczęła drapać w tym miejscu. Adam zamruczał z rozkoszy. Nie przerywał pracy. Na rozgrzaną patelnię wrzucił pokrojoną paprykę, cebulę i pieczarki.

— Widziałam, że skończyłeś książkę, którą dostałeś na urodziny — zaczęła Sofia. — Nigdy nie lubiłeś powieści. Podobała ci się?

— Czy ja wiem.

— No, kotku, odpowiedz mi... — zamruczała mu do ucha.

— Miauu...

— Nie poddam się.

— Przeczytałem ją, bo... się wciągnąłem.

— Tylko tyle? No, daj coś z siebie — szepnęła prosząco, a jej ręka znieruchomiała na jego plecach.

— No przecież daję. Robię frittatę (jeśli dobrze wymawiam) z warzywami i bekonem — powiedział,

rytmicznie ocierając się plecami o jej rozczapierzone palce.

— Zastanawiam się po prostu, jaki jest przepis na dobrą historię.

— No wiesz, to jest jak z każdym przepisem, nie tylko kulinarnym. Chodzi o to, żeby składniki były dobrze dobrane — odpowiedział Adam, marszcząc czoło.

— Czyli kompozycja?

— Ważne jest wszystko. Kiedy na przykład przygotowuję frittatę (jeśli dobrze wymawiam), liczy się nie tylko przepis, czyli kompozycja składników w odpowiednich proporcjach i sposób przyrządzenia dania, ale jakość i świeżość produktów...

— Aaa! Oboje znamy tę reklamę! Słyszysz siebie? Wgrali ci ten tekst na twardy dysk!

Obróciła go o sto osiemdziesiąt stopni tak, że stali twarzami do siebie. Chociaż koszula na plecach opadła, z przodu zawinęła się na zaokrąglonym brzuchu, który teraz był widoczny w całej krasie.

— Ale ciasto! — Sofia zaczęła go delikatnie ugniatać. — Jest wałeczek. Będą leniwe kluski na obiad.

Zawstydzony Adam wciągnął koszulę do spodni.

— Czego ty ode mnie chcesz, kobieto?

— Żebyś powiedział mi coś więcej o tej powieści.

— Przecież mówiłem. Dodam jeszcze: wszystko, co powiedziałem, to święta prawda. Kiedy zamiast oliwy użyję smalcu, albo zamiast świeżego groszku czy pomidorów dam te z puszki...

— Obawiam się, że to, co powiedziałeś, ma się nijak do pisarstwa.

— Też się tego obawiam.

— To znaczy?

— To znaczy, że nawet najlepsza frittata (jeśli dobrze wymawiam) ma się nijak do powieści. A poza tym obawiam się, że nie będzie frittaty, bo wszystko zaraz się spali. Widzisz, ty mnie zagadujesz, a kto robi śniadanie?

— Ty, kochanie. Każdy wie, że ty zrobisz je najlepiej.

— Czy w takim razie może być swojska jajecznica potocznie zwana jajówą? — zapytał, ale Sofia nie mogła go usłyszeć, zajęta ustawianiem dźwięku w odtwarzaczu.

— Co puszczasz? — krzyknął Adam.

— Prousta.

— Tylko nie Proust.

— Co masz przeciwko Proustowi?

— Nie lubię słuchać tego samego po kilka razy.

— Wybacz. Czasem cofam kawałek, bo staram się, żeby nic mi nie umknęło. Proza Prousta jest jak poezja. Co ja mówię? Jest jak muzyka.

— Lepiej puść muzykę.

III

Trzecia sesja

Gabinet pani Skiej to przestronne, lecz nieprzytłaczające wielkością pomieszczenie, w którym każdy przedmiot znajduje się w precyzyjnie wyznaczonym przez architekta wnętrzu. Na jego wyposażenie składają się dwa obite ciemnoczerwoną skórą fotele i sofa do kompletu, stolik kawowy w stylu Biedermeier, niewielka

dębowa witryna pod kolor drzwi i framug okiennych oraz włochaty dywan, do złudzenia przypominający sierść Dextera (kto oskórował naszego psa?). Na ścianach wyklejonych ciemną tapetą, na której obsesyjnie powtarza się motyw kwiatu akantu, wiszą dużego formatu zdjęcia i lustro w barokowej ramie. Jednak tym, co pacjentowi rzuca się w oczy najbardziej, jest ciężki, kryształowy żyrandol. Budzi zdziwienie, bo bardziej by pasował do sali balowej niż do tego miejsca. „Kiedy pracuję, światło musi być zapalone” — wyjaśniła pani Ska podczas naszej pierwszej sesji. Mimo to w gabinecie panuje zwykle przyjemny półmrok, który zachęca do zwierzeń. Ekspert zaproszony do programu poświęconego obecnym trendom w architekturze wnętrz, który obejrzałam, żeby zabić wieczorną nudę, wtajemniczył mnie, że ten styl ma swoją nazwę. „To styl glamour” — powiedział takim tonem, jakby zdradzał widzom pilnie strzeżoną tajemnicę, dzięki której sami staną się bardziej glamour. „Dekoracyjność, bogactwo, ale i maskarada, bo większość rekwizytów jedynie stwarza pozory luksusu. W rzeczywistości meble i inne przedmioty najczęściej są wykonane z imitacji szlachetnych materiałów. Ktoś może wzruszyć ramionami ze wzgardą, ale czy umiejętność stwarzania iluzji to nie sztuka?” — zapytał na koniec.

Siedzę w fotelu przeznaczonym dla pacjenta, kiedy punkt dziesiąta w gabinecie zjawia się pani Ska w nieskazitelnie białej sukience z lnu. Zajmuje drugi fotel obok stolika z notatnikiem i stylowym pudełkiem z chusteczkami, które w razie potrzeby chętnie mi poda. Na jej szyi dostrzegam coś,

co budzi skojarzenie z obrożą naszego psa po dłuższym spacerze. Harce Dextera w trawie i gonitwy po lesie często pozostawiają ślady w postaci liści i gałązek zaplątanych w sierść na karku. Pani Ska nie biegła po lesie, jak sędzę. Jej długą szyję zdobi gęsta plecionka ze skóry, w którą wkomponowano półszlachetne kamienie, fantazyjne chwościki i supełki ze wstążki. Domyślam się, że to przedmiot pożądania nowoczesnych kobiet. W duchu wyrażam zadowolenie, że nie muszę być modna ani nikomu się podobać. Poza Adamem, naturalnie, ale on woli klasyczną prostotę.

— Jak się pani dzisiaj czuje?

Kusi mnie, żeby wyznać: „Śniło mi się, że skończyłam czterdzieści lat i na wszystko jest za późno”. Chyba mam niewyraźną minę, bo w odpowiedzi na moje milczenie słyszę:

— Czy chciałaby pani o tym porozmawiać?

— Nie — odpowiadam i uprzedzając jej reakcję, dodaję: — Nie odrobiłam zadania domowego. To znaczy, nic nowego nie napisałam — mówię nieco buńczucznie, żeby ukryć zażenowanie.

— I co w związku z tym? — pyta, a jej oczy zwężają się w szparki.

Czuję niepowstrzymaną chęć, żeby się usprawiedliwić. „Czy ja naprawdę muszę się tłumaczyć przed tą kobietą?”

— Trudno zajmować się scenariuszem, gdy każdego dnia ma się długą listę innych spraw na głowie. Chodzę do pracy, piszę rozprawę habilitacyjną, której nie mogę skończyć. I istnieje uzasadnione podejrzenie, że nigdy mi się to nie uda. Nie jestem w stanie jej z siebie wydalić, a właściwie spłodzić — mówiąc

to, sama się sobie dziwię, skąd takie sformułowania przychodzą mi do głowy. — Nie chciałabym, żeby pani mnie źle zrozumiała. Wierzę, że jest we mnie potencjał i dokończenie rozprawy habilitacyjnej nie przekracza moich możliwości. Wszyscy zresztą mi to powtarzają, ale...

— Ale?

— Problem w tym, że za każdym razem, kiedy siadam do pracy, ogarnia mnie tysiąc wątpliwości i jak już w końcu wycisnę z siebie jedną nędną stronę, jestem wykończona.

— Nie lubi pani pisać?

— Chce pani wiedzieć, czy piszę teksty naukowe dla przyjemności? Raczej nie. Poza tym zdaję sobie sprawę, że habilitacja to tylko kolejny etap drogi naukowej. Po nim przyjdą następne zadania: artykuły, konferencje i tak dalej. Wszystko to prowadzi w prostej linii do tytułu profesorskiego i adekwatnego stanowiska na uczelni. Nie jestem pewna, czy mam na to ochotę. Obserwuję mojego ojca profesora. To, co widzę, nie zachęca mnie do pójścia w jego ślady. W sumie nie mam chyba już nic więcej do powiedzenia — mówię na głos, tymczasem w myślach kontynuuję monolog:

„Czy lubię pisać? Bardzo. Zawsze byłam twórcza. Od najmłodszych lat uwielbiałam rysować i malować. Każdą wolną chwilę spędzałam nad kartką papieru. Nie byłam wybredna: jak nie miałam bloku technicznego, rysowałam w zeszytce. A jak nie było zeszytu, to na serwetce lub kawałku tektury”. W głowie pojawia się film klatka po klatce. Widzę jasnowłosą dziewczynkę z dwoma kucykami siedzącą przy stole jadalnym. Z zapałem rysuje.

Wszędzie leżą sterty jej rysunków. Co jakiś czas w kadrze pojawia się jedno z rodziców, aby ją pochwalić. I taka scena: tata zadaje pytania: „Kredki czy mazaki, Zosiu?”. Po dłuższym namyśle odpowiadam: „Kredki”, ale zaraz dodaje: „I mazaki”. Wszyscy zgodnie utrzymywali, że mam talent. Dlatego nikt się nie zdziwił, kiedy w przedostatniej klasie liceum ogłosiłam, że będę zdawać na Akademię Sztuk Pięknych. Przez półtora roku sumiennie chodziłam na kurs przygotowawczy. Nie rysuję, odkąd zdecydowałam, że jednak nie zostanę malarzką. Tuż przed egzaminami wstępnymi zdałam sobie sprawę, że coś się zmieniło: już nie rysuję z potrzeby wewnętrznej jak dawniej. Zajęcie, które przez lata było moją prywatną przyjemnością w ciągu półtora roku stało się obowiązkiem, zadaniem podlegającym ocenie. W moich sumiennych studiach z natury czy akademickich szkicach trudno było doszukać się zapału twórczego. Umarło we mnie dziecko, które potrafiło rysować przez cały dzień i nie czuło zmęczenia, nie zastanawiając się, czy to, co robi, jest sztuką czy nie, czy jego prace są coś warte i czy się komuś spodobają. Ku zaskoczeniu wszystkich zamiast na ASP poszłam na filologię polską. Do której z czasem dodałam wykłady fakultatywne z psychologii, bo pomyślałam, że to pozwoli mi na pogłębienie moich badań nad literaturą i filmem.

— Czy długo będziemy tak siedzieć i milczeć? — pyta pani Ska uprzejmym tonem, jakby sprawdzała, która jest godzina.

— Chciała pani wiedzieć, czy lubię pisać. Od czasu studiów piszę, ale tylko dla siebie samej. Nigdy

nie odważyłam się ani nie odczuwałam potrzeby, aby komukolwiek pokazać mój Terminarz, który jest czymś w rodzaju dziennika.

— A co się takiego zdarzyło, że zaczęła pani pisać scenariusz?

— Zawirowania w życiu prywatnym. Chociaż czasem zastanawiam się, czy to nie ucieczka przed habilitacją...

Pani Ska kiwa głową. Sprawia wrażenie zadowolonej. Pragnie mieć opinię psychoterapeutki, która potrafi się włamać do każdej duszy. Zgaduję, że nie lubi opornych pacjentek.

— Proszę opowiedzieć więcej na ten temat.

— W ramach habilitacji kończę książkę o twórczości jednego z amerykańskich reżyserów. Ale na naszych spotkaniach nie chcę poświęcać tej sprawie zbyt wiele czasu. Chodzi mi wyłącznie o scenariusz. Słyszałam, że psychoterapeuta może pomóc w procesie twórczym.

— Jak pani wyobraża sobie moją rolę?

— Potrzebuję kogoś, kto by cierpliwie słuchał, no i kto potrafi dotrzymać tajemnicy. A panią obowiązuje tajemnica służbowa, prawda?

— Tak — odpowiada skwapliwie.

— Poza tym chciałabym pani czytać fragmenty tego, co napisałam.

— Jeśli oczekuje pani merytorycznej krytyki, to należałoby raczej zwrócić się do fachowca. Nie jestem scenarzystką ani nie zajmuję się krytyką filmową — mówi oschle. Widać, że pani Ska nie czuje się pewnie na obcym terenie.

— Nie oczekuję od pani fachowej recenzji. Tu nie chodzi o warsztat pisarski, tylko o...

— A, no właśnie — przerywa mi. — Skoro dziś nie ma pani nic do odczytania, to może po prostu proszę opowiedzieć o samym pisaniu. O tym braku odwagi czy potrzeby.

— To znaczy?

— Żeby komuś to pokazać. — Czy mi się zdaje, czy słyszę w jej głosie źle skrywaną irytację? Ale nawet jeśli się nie mylę, wyraz jej twarzy jest nieprzenikniony. Zresztą nieważne, nie po to tu przyszłam, żeby zajmować się życiem psychicznym mojej terapeutki. Mówię:

— Po pierwsze, nie daje mi spokoju problem natury moralnej. Jak wiadomo, autor jest twórcą, który powołuje do życia nieistniejące światy. Jednak w praktyce trudno pisać o czymś, czego się nie zna. Jeśli mam dbać o prawdę psychologiczną moich bohaterów, muszę czerpać z moich osobistych doświadczeń. Zastanawiam się, jak to zrobić, żeby opisać znanych mi ludzi i sytuacje, jednocześnie ukrywając tożsamość tych osób. Tak łatwo kogoś... — nie kończę zdania, bo zastanawiam się, co pani Ska wie o moralności.

— Chyba nie liczy pani na to, że udzielię w tej kwestii jakiejś rady.

Jej twarz nie zdradza żadnych uczuć.

— Nie liczę. To znaczy właściwie nie wiem, na co liczę. Może na jakiś sygnał z pani strony świadczący o tym, że rozumie pani mój problem — mówię, nie kryjąc rozdrażnienia.

— Rozumiem pani problem — stwierdza beznamiętnie pani Ska.

— Świetnie. — Prostuję się na fotelu. — Widzi pani, obawa przed rozpoznaniem alter ego któregoś

z bohaterów (ze mną włącznie) — gorączkowo szukam właściwych słów — hamuje moje zapędy twórcze. Bo nawet jeśli zmienię imiona i nazwy miejsc, nadal będzie to historia z kluczem.

— Jeśli dobrze zrozumiałam, cierpi pani na coś w rodzaju blokady pisarskiej? — pyta obojętnie.

— Tego nie powiedziałam. O blokadzie wspomniałam w kontekście habilitacji.

Pani Ska chce wiedzieć, co czuję w związku z tą sytuacją.

— Już mówiłam: mam różne obawy.

— Czy pojawiły się jeszcze jakieś inne uczucia w związku z pisanem?

— Mieszanka strachu i wstydu. Jak by nie patrzeć, pisanie jest formą ekshibicjonizmu.

— Wstydu? Przed kim?

— Czy ja wiem?

— A może przed sobą samą?

— Pewnie jak każdy wolę o sobie myśleć dobrze i raczej nie obnoszę się ze swoimi wadami. Nie zastanawiałam się nad tym.

Pani Ska nic nie mówi, ale jednocześnie nie spuszcza mnie z oczu. Cała zamienia się w słuch. Jej twarz zastyga w znanym mi już wyrazie wytężonej uwagi, podczas gdy ciało przyjmuje profesjonalną pozę zawodowego wysłuchiwanca.

Jednak nie mam ochoty mówić o sobie. Nie teraz. I nie jutro.

— Pokrewny problem to prawo własności — mówię. — Nie mogę kraść innym ludziom ich historii. Chociaż sprawa jest problematyczna. Do kogo właściwie należą historie, które pisze dla nas (a może za nas) życie? Czy mam prawo opisać historię

cudzego romansu? Odpowiedź jest tym bardziej nieoczywista w sytuacji, jeśli, na przykład, sama byłam nie tylko świadkiem, ale w jakimś sensie nawet uczestnikiem opisanych wydarzeń.

Pani Ska z zawodową uprzejmością pyta, czy chcę o tym porozmawiać, ale jednocześnie dyskretnie zerka na złoty zegarek.

Czuje, jak irytacja podchodzi mi do gardła.

— Raczej nie — mówię. — Wracając do tematu, boję się, że ludzie automatycznie przypiszą mi myśli i uczucia głównej bohaterki i pomyślą, że to wszystko mnie się przytrafiło. Przyjaciół mojego ojca jest seksuologiem. Na jednej z konferencji referował wyniki swoich badań dotyczących przemocy seksualnej w związkach małżeńskich. Koledzy po fachu skwitowali jego wypowiedź porozumiewawczymi uśmiechami. Jest przekonany, że nawet najbliżsi współpracownicy podejrzejwają go o perwersyjne skłonności seksualne. Wie pani, ludzie są prości. Wywiady ze znanymi aktorami, którzy na ekranie grali pacjentów chorych na raka, to potwierdzają. Był nawet taki jeden, który niby to umarł na oddziale onkologicznym. I później opowiadał, że na ulicy...

Pani Ska zdradza objawy zniecierpliwienia.

— Chociaż ciekawe jest to, co pani mówi, muszę w tym miejscu przerwać. — Wskazuje na zegar na ścianie; jest przeźroczysty, dzięki czemu można zobaczyć ukryty mechanizm. — Przykro mi, ale dochodzi jedenasta. Z chęcią wrócę do tego wątku następnym razem.

Wyjmuję dwa banknoty stużłotowe. Pani Ska zagląda do portfela.

— Niestety, nie mam jak wydać. Będzie pani miała nadpłatę.

Pani Ska nie okazuje zażenowania, a mnie uderza cała niedorzeczność tej sytuacji. I zastanawiam się, kiedy ta intelektualna wymiana w eleganckim saloniku przekształciła się w handel na bazarku. Dyskurs salonowy. Pstryk. Dyskurs bazarowy.

IV Pranie

Zapowiadał się dobry dzień. Początkowo biegła szybko, żeby zdążyć przed upałem, ale z powodu zmęczenia musiała zwolnić. Za wszelką cenę starała się utrzymać równe tempo i unikać przystawania. Byle do przodu. Zatrzymywała się tylko wówczas, kiedy musiała złapać oddech albo Dexter na dłużej ginął jej z oczu. Nie wolno było siadać ani się kłaść. Aby nie tracić czasu, znajdowała jakąś naturalną podpórę jak drzewo lub płot i rozciągała mięśnie lub oddychała głęboko, wpatrując się w wypalone trawniki i wysuszone sadzawki. Nie mogła oprzeć się pokusie liczenia zmumifikowanych żab, których płaskie ciała przywarły do asfaltu. Po półgodzinnym marszobiegu ledwo powłóczyła nogami. Z perwersyjną przyjemnością wyobrażała sobie swoją śmierć na tej pustyni, a zaraz potem Adama, który znajduje jej ciało pokryte pyłem polnej drogi. Wróciła do domu, słaniając się na nogach i z bólem w kolanie. Mimo zmęczenia lub właśnie dzięki niemu wypełniało ją poczucie spełnienia, o którym wiedziała, że musi być

okupione wysiłkiem fizycznym. Dexter, który podczas spaceru pokonał przynajmniej dwukrotną długość trasy, którą przebiegła Sofia, ociągał się z powrotem do domu. W końcu wrócił zziębnięty, a po wychłeptaniu pełnej miski wody, padł na podłogę bez życia. Jego biskoptowe futro przybrało szary odcień kurzu, który stał się dla Sofii symbolem tamtego lata. W łazience panował przyjemny chłód, a prysznic przynosił ulgę obolałemu ciału. Ze szklanką soku, w lekkiej bawełnianej sukience, którą wystarczyło wsunąć przez głowę, bosy usiadła do pisania. Poświęciła dużo czasu na przeczytanie i poprawienie ostatnio napisanej sceny. Przejrzała notatki. Dopisała dwa krótkie zdania, aby po chwili połączyć je w jedno długie współrzędnie złożone. Dodała trzecie, które następnie zmodyfikowała. Przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu, wpatrując się w ekran. Na koniec usunęła całą scenę. Po wpisaniu w wyszukiwarkę haseł: „blokada pisarska”, „kryzys twórczy” i „artystyczna impotencja” pojawiło się około dwunastu tysięcy wyników. Mniej lub bardziej doświadczeni pisarze tudzież wszelkiej maści grafomani radzili, aby 1/ codziennie, bez względu na sytuację, zasiadać do pisania w tym samym miejscu i czasie albo 2/ przeczekać kryzys, a nawet tymczasowo porzucić pisarstwo w oczekiwaniu na natchnienie. (Natchnienie! Stan, który sprawia, że pisarzowi przypisuje się pozaziemskie moce. Tymczasem chociaż „natchnienie” brzmi górnolotnie, w rzeczywistości bliżej mu do czegoś tak przyziemnego jak przykre ssanie w pustym żołądku czy impuls seksualny.); 3/ Na jakiś czas zapomnieć o pisaniu właśnie tekście i przerzucić się na krótkie opowiadania na dowolne tematy. Najlepiej mało

istotne, jak na przykład widok z okna („lub zmumifikowane żaby przyklejone do asfaltu” — pomyślała Sofia); 4/ Potraktować wyzwanie pisarskie jako zadanie do wykonania, a nie wiekopomne dzieło, które ma nadać sens całemu życiu; 5/ Czytać inspirujące teksty uznanych autorów (albo wręcz przeciwnie: nie czytać, żeby uniknąć porównań, które rodzą kompleksy, a te z kolei prowadzą do niemocy twórczej); 6/ Opowiedzieć o swojej powieści przyjaciółce. „Nie mam przyjaciółki. Już nie mam!” — pomyślała gorzko Sofia. Nie mogła się skupić. Jej wzrok błąkał się po pokoju. Na regale z książkami leżał pluszowy miś z naderwanym nosem — jej pierwszy prezent od Adama. Na biurku piętrzyły się książki, z których korzystała w pracy na uczelni. Obok sarta dokumentów. Jakieś listy: z banku, od towarzystwa ubezpieczeniowego... „Boże! Patrzę na te wszystkie przedmioty, z których każdy wymaga mojej uwagi, każdy odsyła do innego zadania. I nie wiem, w co ręce włożyć... Zrobię pranie” — pomyślała i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Pralnia stanowiła obiekt zazdrości większości znajomych kobiet odwiedzających ich dom. Po drodze ściągnęła z poręczy schodów niebieską bluzę Adama, która wisała tam od ładnych kilku dni. Zanurzyła w niej twarz. Słodka woń jego ciała w połączeniu z wodą kolońską (sama mu ją wybrała) zawsze działała na nią kojąco. Brudną odzież segregowała na trzy kategorie: białe, czarne, kolorowe, z których każdą na kolejne trzy ze względu na temperaturę prania (40 °C , 30 °C lub wełna/delikatne). Zaczęła systematycznie opróżniać worek z kolorowymi ubraniami z bawełny, odpornymi na wysokie temperatury. „To nie ma sensu. Wszystko

już zostało napisane” — myślała, upychając ręczniki, bieliznę, kraciastą poszewkę na kołdrę i niebieską bluzę do wnętrza blaszanego bębna. Jej ruchy były sprawne i szybkie. „Plamy na obrusie nie zejda bez namaczania” — przemknęło jej przez głowę. Przygotowała wiadro, nalała wody i rozpuściła środek odplamiający. Kiedy wkładała do środka kraciastą serwetę, usłyszała swój własny głos: „To za trudne. Nie dam rady”. Jak zwykle dużo czasu poświęciła żmudnemu zajęciu usuwania jasnych psich włosów z czarnych ubrań. Kiedy skończyła, zapakowała ciemną odzież do worka i odłożyła na bok. Wylała mydliny z wiadra, a obrus włożyła do pralki. Pokrętko ustawiła na odpowiednią temperaturę i włączyła przycisk „Start”. Patrząc na wirujące pranie, poczuła znajomą ulgę, jaką przynosi dobrze wykonana praca i wiara, że plamy można zmyć, a błędy naprawić i zacząć wszystko od nowa.

Z zadumy wyrwał ją znajomy głos:

— Co robisz? — zapytała Tosia, aby za chwilę obwieścić triumfalnie: — Pierzesz!

Dziewczynka była wyraźnie zadowolona ze swojego odkrycia.

Tosia, córka sąsiadów, była ładną nastolatką o sympatycznej twarzy i długich, prostych włosach. Miała najwyżej dwanaście lat. Zawsze, kiedy Sofia na nią patrzyła, towarzyszyła jej natrętna myśl, że mogłaby być jej córką.

— Jak się tu dostałaś? Nie zamknęłam drzwi wejściowych?

— Wujek Adam mnie wpuścił. Chcesz? — zapytała Tosia, wyciągając w jej stronę napoczętą paczkę żelków.

— Nie, dziękuję. Lepiej nakarm swoje wątłe ciało, chudzielcu.

— Nie mów tak. Mama nazywa mnie patyczakiem. Powtarza, że składam się głównie z członków.

— Co słyszeć u mamy? — zapytała Sofia z grzeczności.

— Nic. Nie ma jej. A ja muszę iść do fotografa. Czy myślisz, że tak mogę pójść? — zapytała, robiąc zgrabny obrót wokół własnej osi.

— Jeśli to zdjęcie do legitymacji szkolnej, to najważniejsza jest głowa — zauważyła Sofia.

— Powinnam umyć włosy, czy mogę pójść z brudnymi? Jak zrobię sobie kucyk, nie będzie widać.

— Myślę, że kucyk to dobry pomysł.

— Tak na co dzień to ja wolę chodzić z rozpuszczonymi. Bo one są takie zwariowane jak ja. Moja przyjaciółka uważa, że mnie wyrażają. Tak właśnie powiedziała. I ja się z tym zgadzam. Też jestem taka nieogarnięta — trąkotała Tosia, zaczesując włosy palcami w koński ogon.

— A już myślałem, że przyszedłś pożyczyć książkę — powiedział Adam i uśmiechnął się przyjaźnie. Jego obecności żadna z nich wcześniej nie zauważyła.

— Chciałam pożyczyć, bo wiedziałam, że macie ich dużo. Nie znam nikogo, kto miałby tyle książek. Chyba że pani z biblioteki.

— Rzeczywiście w naszym domu ich nie brakuje, ale nie wiem, czy znajdziemy coś dla ciebie. Czego mam szukać? — zapytała Sofia, idąc za Tosią w stronę schodów prowadzących na parter.

— Ja lubię książki, w których coś się dzieje. Nudzą mnie opisy przyrody i ludzi. Fajniejsze są dialogi.

Biblioteka w salonie zajmowała całą ścianę od podłogi do sufitu. Na ciasnych szeregach książek ustawionych w pionie leżały po dwie, trzy dodatkowe, bez reszty wypełniając całą wolną przestrzeń.

— Ale macie fajnie. Nie musicie chodzić do biblioteki — skwitowała Tosia.

— Ja rzeczywiście nie chodzę, bo nawet gdybym chciał przeczytać wszystkie te książki, nie starczyłoby mi życia — odezwał się Adam, który przyszedł tu za nimi.

— A ja chodzę, bo tutaj nie potrafię niczego znaleźć — powiedziała Sofia.

Podczas gdy Tosia przeglądała pozycje na półce znajdującej się na wysokości jej wzroku, Sofia podała jej średniej grubości książkę, którą wypatrzyła na samej górze regału.

Tosia rzuciła okiem na okładkę, po czym spojrzała pytająco na Sofię.

— To historia o nastolatce, chyba nawet twojej rówieśniczce, która jest naprawdę niezwykłą dziewczynką, bo ma zespół Aspergera. Mieszka ze swoim tatą, babcią i kotem, i przytrafiają jej się różne przygody w domu i szkole.

— Eee... Jak o szkole, to nie.

— No, nie zrażaj się tak łatwo. Trudno opisać tę powieść, ale jest naprawdę dobra.

— A to? — zapytała Tosia, wskazując na książkę w wyblakłej obwolucie.

— To opowieść o dojrzewaniu. Wszystkiego nie pamiętam, ale młody chłopak ucieka ze szkoły i rusza samodzielnie w świat. Jest zagubiony i samotny, bo nie może liczyć na rodziców.

— Nieciekawe — stwierdziła Tosia, krzywiąc zadarty nos.

— To tylko mój nieudolny opis. Nie oddaje sprawiedliwości tej książce.

— A coś innego?

— Żałuję, że cię zniechęciłam do tych powieści.

— Większość moich kolegów i koleżanek z klasy w ogóle nie czyta książek. Wystarczają im streszczenia i omawianie lektur na lekcji. Czasem oglądają filmy, na przykład *W pustyni i w puszczy*.

— No, ale ty lubisz czytać.

Tosia potrząsnęła na potwierdzenie jasną grzywką.

— I rozumiesz chyba, że to są dwie różne sprawy. Czytanie streszczenia albo oglądanie nawet najlepszej ekranizacji nie zastąpi lektury powieści. Jeśli ktoś w to wierzy, to znaczy, że mu wszystko jedno, czy obejrzy mecz na żywo, czy tylko wysłucha czyjejś relacji po meczu.

Sofia z niepokojem uświadomiła sobie, że od dawna nie przeczytała żadnej książki dla przyjemności. Od dawna, czyli od kiedy? Czy nie odkąd sama zaczęła pisać? Tłumaczenie, że nie miała czasu, nie oddawało całej złożoności jej sytuacji. Prawda była taka, że kiedy tylko sięgała po jakąś prozę, okazywało się, że odnajduje tam własne historie, z których wiele opowiedziała już w swoim scenariuszu. Poczucie żalu pod tytułem „Ależ to ja pierwsza wymyśliłam” jej nie opuszczało. Myśl, że się spóźniła, bo wszystko już zostało napisane, nieuchronnie skazywała ją na kryzys twórczy.

Tosia tymczasem zainteresowała się inną książką.

— Możesz pożyczyć — powiedziała Sofia, uprzedzając jej pytanie. — Tym razem nie powiem ci nic więcej.

— W ogóle nic? — zapytała Tosia rozczarowana.

— To kryminał.

— Jak to kryminał? — włączył się Adam. — Dla mnie *Katar* to książka filozoficzna czy wręcz psychologiczna. Pamiętam nawet jakieś rozważania o prawdopodobieństwie. Ale trzeba przyznać, że czytałem ją naprawdę bardzo dawno.

— Może w ramach kompromisu nazwijmy ją powieścią eksperymentalną — zgodziła się Sofia. — Te podziały i kategoryzacje są takie mylące. — Podała książkę Tosi. — Może to trochę za dorosłe dla ciebie, ale spodoba ci się. Tak myślę — powiedziała.

— Dlaczego nie pożyczyłaś jej *Hobbita*? — zapytał Adam po wyjściu dziewczynki.

— Nie znam. A właściwie nie. Chyba jako dziecko czytałam, ale nic nie pamiętam.

— To może nie warto czytać książek, skoro z czasem zapominamy ich treść? A co dopiero, gdy człowiek nawet nie pamięta, czy w ogóle kiedyś daną książkę czytał?

— Jesteś dzisiaj podejrzanie rozmowny — powiedziała Sofia i lekko ugryzła go w ucho.

V Czwarta sesja

Na klatkach schodowych starych kamienic latem panuje przyjemny chłód, a jednocześnie roznosi się odpychająca woń codziennych spraw, którymi żyją obcy ludzie. Nieustanny ruch z dołu na górę i z góry na dół po schodach oraz z lewej do prawej

albo z prawej do lewej na podestach pięter to jedyne widoczne przejawy ich niepojętej egzystencji. Co pewien czas ktoś zapuszcza się na sam dół, do piwnic, w których dawniej przechowywało się kartofle, beczki z kapustą i węgiel, a dzisiaj służą za graciarnie do składowania niechcianych przedmiotów. Drewniana poręcz, którą ktoś kiedyś pomalował szarą farbą, bo akurat taką miał pod ręką, częściowo wróciła do pierwotnej barwy. Wygłaskana przez setki dłoni z czasem stała się lśniąca i gładka w dotyku jak metal. Naciskam klamkę drzwi wejściowych. Nie stawia oporu. W mieszkaniu jest tak cicho, że mimo woli zaczynam wolniej się poruszać. Bezszelestnie wślizguję się do gabinetu. Mój wzrok przyciąga sześć czarnobiałych zdjęć oprawionych w jednolite, srebrne ramy. Przedstawiają pustynny pejzaż: ślady, jakie pozostawiły na piasku przesuwane się z wiatrem kamyki, na wpół zatarte odciski stóp, tańczące na wietrze suche trawy. Lekkie kroki, które słyszę w korytarzu, harmonizują z tym monochromatycznym światem. W drzwiach pojawia się pani Ska. Pyta od progu:

— Podobają się pani?

— Bardzo — odpowiadam zgodnie z prawdą.

— To moje zdjęcia z Sobieszewa — mówi z nieukrywaną dumą w głosie. Czuje, że chciałaby coś jeszcze powiedzieć. Wystarczyłoby zapytać, ale zamiast tego bez słowa siadam na swoim miejscu. Pani Ska również siada.

— Wróćmy do naszej ostatniej rozmowy. Do pani lęków i obaw. Czy chciałaby pani coś dodać? A może mogłabym pani jakoś pomóc w tej sprawie? — pyta tonem troskliwej pielęgniarki.

To, w jaki sposób i co mówi, jest dla mnie podwójnym komunikatem. Chce mi dać do zrozumienia, że pamięta naszą rozmowę (choć podczas ostatniej sesji nie robiła notatek). Deklaruje, że ze swoją historią i problemami jestem dla niej osobną pacjentką, a nie tylko następną klientką wpisaną do kalendarza, która zostawia jej sto pięćdziesiąt złotych. Ignoruje ten ukryty przekaz i po prostu odpowiadam na zadane pytanie:

— Chyba nie wspomniałam o najważniejszej kwestii. O dyskrecji. To historia bliskiej mi osoby.

— Zdradzi mi pani, kim jest dla pani ta osoba?

— Na razie nie.

Nasze milczenie się przeciąga. Pani Ska po raz pierwszy podczas tego spotkania zdradza oznaki zniecierpliwienia. Pewnie zastanawia się nad sensem naszych spotkań, skoro podstawą każdej psychoterapii powinno być wzajemne zaufanie psychoterapeuty i pacjenta, a tu nic na to nie wskazuje. Przynajmniej na razie. Niespodziewanie prostuje plecy i zakłada nogę na nogę. Patrzy na mnie wyzywająco jak Sharon Stone w słynnej scenie z filmu... Co to było? *Nagi instynk?* Jednak siedząca przede mną kobieta nie próbuje mnie uwieść, tylko dodać sobie pewności siebie. Stąd też pewnie te okulary (założę się, że nosi szkła zerówki). Moje rozmyślania przerywa zniecierpliwiony refren:

— Mam taką fantazję...

— Wiem, co chce pani powiedzieć, ale bardzo proszę wstrzymać się z tą uwagą.

— A skąd pani wie, co chciałam powiedzieć? — zwraca się do mnie pobłażliwym tonem, jakby mówiła do dziecka.

Ignoruje jej pytanie.

— Przygotowałam opis kolejnej sceny. Mogę przeczytać? Obiecuję, że wkrótce wszystko się wyjaśni. Proszę tylko dać mi więcej czasu.

Kiwa głową na znak zgody.

— Po pierwszej scenie, którą już pani zna, wracamy do wcześniejszych wydarzeń. Rozegrały się kilka lat wcześniej.

— Retrospekcja? — pyta pani Ska, jakby chciała się pochwalić, że ten termin znajduje się w jej słowniku.

„PLENER. WIEŚ NA KASZUBACH — DZIEŃ

Kamera podąża w ślad za autem marki Ford, które jedzie polną drogą. Wokół po horyzont sielankowy krajobraz Szwajcarii Kaszubskiej: łagodne pagórki, lasy, pola. Gdzieś widać gospodarstwa rolne. Ford zatrzymuje się przed drewnianym domem z gankiem, obok kilku innych samochodów. Z auta wysiada kobieta. Rozpoznajemy w niej tę samą BLONDYNKĘ, teraz trzydziestoletnią, która pojawiła się w pierwszej scenie. Wysiada i wypakowuje z bagażnika walizkę, torbę i śpiwór. W następnym ujęciu widzimy wnętrze domu. Świeżo otynkowany, ale jeszcze niepomalowany korytarz, na podłodze pokrytej szarym linoleum długi szereg butów; drewniane wieszaki uginają się od różnokolorowych kurtek. Po lewej pokój (pusty, na podłodze rozrzucone poduszki) z widokiem na podjazd i drogę, którą przyjechała kobieta. Po prawej — duża kuchnia, na wprost drzwi, pod ścianą pomalowany na biało ludowy kredens, a na środku okrągły stół jadalny; za stołem widoczny zlewozmywak, a obok na blacie

suszarka, na której suszą się kubki i filiżanki. W głębi korytarza widać otwarte drzwi do dużego pokoju (schody obok nich po prawej prowadzą na piętro). Nad framugą drzwi wiszą dwa obrazki w czarnych ramkach: mandala kosmicznej harmonii i duchowego centrum oraz śmiejący się Budda. Z sali dobiega gwar rozmów, śmiechy. Kobieta wiesza swoją kurtkę, odstawia bagaże na podłodze obok rzędu butów i idzie w tamtym kierunku. Przez korytarz bezszelestnie przeemyka biały kot. Zanim zniknie w kuchni, otrze się o nogi kobiety. Sala po brzegi wypełniona jest ludźmi. Przeważają dwudziesto-, trzydziestolatkowie w dresach, bluzach, T-shirtach. Witają się z przybyłymi jak z dobrymi znajomymi. Obejmują się, niektórzy całują się na powitanie. Z każdym przytuleniem, uściskiem rąk i pocałunkiem znajoma kobieta przesuwa się bliżej kominka i bujanego fotela, na którym siedzi starsza kobieta. To SZEFOWA (65 lat). Mocnej budowy, z długimi, siwymi włosami i w tybetańskim kaftanie, sprawia wrażenie osoby charyzmatycznej i dominującej. Kobieta z Forda podchodzi i wita się z nią, jednak rytuał powitalny odbiega od poprzednich. Nagle wszystkie pozostałe rozmowy milkną. Pozostali uczestnicy spotkania odwracają się w stronę kominka, śledząc z uwagą rozwój wypadków. Starsza kobieta, nie ruszając się z fotela, mówi coś pewnym siebie, autorytarnym tonem. W odpowiedzi wybuchają salwy śmiechu. Po obiedzie rozpoczynają się zajęcia warsztatowe. Uczestnicy dzielą się na dwie mniejsze grupy, każda z grup zamyka się w innym pomieszczeniu. W pokoju na parterze znajoma blondynka zajmuje miejsce w kręgu.

Sesję rozpoczyna trenerka ANITA (25), która wita przybyłych. Dziewczyna ma uroczy uśmiech i niewielką wadę wymowy (sepleni). Po krótkim wstępie zachęca kursantów, aby opowiedzieli, jak się czują i co się zdarzyło w ich życiu od ostatniego spotkania. Kolejne osoby zabierają głos. Blondynka mówi o swoim mężu i — jak się wyraziła — szczęśliwym pożyciu. Zaplanowany na trzy dni pobyt we Wnykach upływa na warsztatach (trzy godziny rano i trzy po południu) i integracji. W wolnym czasie kursanci wspólnie jedzą wcześniej przygotowane potrawy, sprzątaję po posiłkach, chodzą na spacerów do wsi lub do lasu. Wieczorem rozmawiają i śpiewają przy kominku lub ognisku. Zwykły porządek zjazdu zakłóca zdarzenie, w konsekwencji którego śniadanie następnego dnia się przedłuża, a poranne warsztaty nie dochodzą do skutku”.

— Zaczyna się intrygująco. Mam kilka pytań. Czy może mi pani powiedzieć, co to za warsztaty? I kim są prowadzący? Psychologami? Psychoterapeutami? — pani Ska wygląda na autentycznie zainteresowaną.

— „Samoświadomość i Szczęście”. Warsztaty rozwojowe i trening umiejętności społecznych w jednym. O ludziach napiszę później. Teraz pracuję nad kolejną sceną, ale powoli mi to idzie. Mam nadzieję, że zdążę ją dokończyć do naszego kolejnego spotkania.

— Właśnie, narzekała pani na brak czasu.

— Ciągłe za dużo się dzieje. Nie mogę się skupić.

— Tak, mówiła pani, że pracuje na uczelni. Ale z tego, co wiem, nauczyciele, w tym również

akademiccy, nie mają aż tak dużo zajęć. I przysługują im dłuższe wakacje.

— Sprawa nie jest taka prosta. Pensum adiunkta jest wprawdzie mniejsze niż czterdzieści godzin, ale poza dydaktyką mamy dużo innych obowiązków.

— Mówi pani dużo o swojej pracy i hobby pisarskim. Chętnie usłyszałabym też coś na temat pani życia osobistego. Ma pani jakąś rodzinę, dzieci, przyjaciół...?

Zapada milczenie, ciężkie od niewypowiedzianych słów i słodkich perfum pani Skiej. Niebo widoczne przez okno ciemnieje jak przed burzą.

— Czy mogę otworzyć okno? — pytam.

Pani Ska nie ma nic przeciwko. Z ulicy dochodzi odgłos zatraskiwanych drzwi i odpalanego silnika. Auto z piskiem opon odjeżdża spod budynku. Przez otwarte okno do gabinetu wpada osa.

— Prawdę mówiąc, czuję podziw dla pani niezwykłej determinacji... — mówi pani Ska. Zabrzmiało to niemal uroczyście.

Patrzę na nią podejrzliwie. Nie mam pojęcia, do czego zmierza.

— Chodzi mi, rzecz jasna, o pani scenariusz. Upór w pokonywaniu przeszkód, które spotyka pani na swojej drodze, jest imponujący.

Zgaduję, że mam niewyraźną minę. Nie bardzo wiem, jak zareagować. Milczę.

— Zastanawiam się, co dla pani znaczy ten scenariusz? Dlaczego jest tak ważny?

— W pewnym punkcie mojego życia... — urywam. To wszystko jest wciąż takie trudne. — ...doświadczylam straty, z którą trudno było mi się pogodzić. Nie mogłam sobie poradzić z odejściem ważnej dla

mnie osoby, z pustką, jaką po sobie zostawiła. Z poczuciem krzywdy. Zdrady. Wieloletnia przyjaźń, wspólne przeżycia, rozmowy, doświadczenia... — Mówię z wysiłkiem, ostrożnie, pilnując, żeby przeszłość znowu mnie nie dopadła. — Długo to trwało. Ku mojemu zaskoczeniu, kiedy w końcu przestałam rozpaczać, poczułam nieodpartą potrzebę opisanie mojej historii. Chciałam zrozumieć, co się stało, dać świadectwo prawdzie.

— Prawda jest dla pani aż tak ważna?

— Najważniejsza.

— Czy nie przecenia jej pani? Czy nie jest tak, że prawd jest tyle, ilu ludzi?

— Czy nie jest prawdą, że spotykamy się co tydzień w tym gabinecie, a jedna sesja kosztuje sto pięćdziesiąt złotych? — pytam i natychmiast tego żałuję. „Odpuść sobie, Sofio” — mówię do siebie w myślach.

Nagle pani Ska robi coś nieoczekiwanego. Z całej siły wali notatnikiem o blat stołu, a odgłos uderzenia jest tak głośny, że podskakuje na fotelu.

— Bezczelna! — wykrzykuje i nie wiem, czy mówi o mnie, czy o osie, która jak gdyby nigdy nic dalej lata po pokoju, pobzykując. Pani Ska zrywa się z fotela, szykując się do polowania. Kątem oka łapie swoje odbicie w lustrze.

— Znam ludzi — mówię — którzy uciekają przed psychologami jak przed zarazą, ponieważ wierzą, że ci ostatni działają jak hakerzy: potrafią włamać się do umysłu. Bawią mnie tego typu wyobrażenia. Ale przyznaję, sama też jestem podejrzliwa. Psychologowie nas diagnozują, testują i podglądają. A niektórzy... używają nawet luster weneckich —

słyszę, co mówię, ale nie potrafię się powstrzymać. Gdybym mogła cofnąć czas, ugryzłabym się w język. Doprawdy jest w tej całej sytuacji coś, co sprawia, że staję się niesympatyczna.

— Myli się pani. To nie jest lustro weneckie — odpowiada z nienaturalnym spokojem pani Ska, która wraca na fotel, dopiero gdy po owadzie zostaje na ścianie mokra plama.

Nagle uświadamiam sobie, że nie tylko ona tkwi w swojej roli, której reguły opanowała perfekcyjnie. Ja także pozwoliłam się obsadzić w tej niby sztuce, którą odgrywamy razem w niby teatrze z pałacową scenografią. Dramat opowiada o treserze dzikich zwierząt. Te, których nie potrafi oswoić, bezlitośnie zabija. I ta myśl niespodziewanie zaczyna mnie drażnić jak skóra po ukąszeniu osy. Jednak zamiast to zignorować, rozdrapuję swędzące miejsce do krwi. Najchętniej wygarnełabym pani Skiej wszystko, co myślę o niej, jej sesjach i „fantazjach”, ale wiem, że autor uwzględnił mój wybuch w tekście dramatu, celem utrzymania widzów w napięciu. I że to nic nie zmieni, moja rozpacz nie zniknie. Dlatego zamiast po raz kolejny ją atakować, zaczynam narzekać na to wszystko, co sprawia, że moje życie stało się nieznośne. Opowiadam jej o matce, z którą nie mogę się porozumieć, o ojcu, którego wymaganiom nie potrafię sprostać, o mężu, który nie ma dla mnie czasu... Pani Ska cierpliwie słucha, od czasu do czasu potakując, jakby chciała dodać mi odwagi. Litania żalów płynie przeze mnie jak rwący górski potok, którego źródło ginie w gąszczu kosodrzewiny. Chwilowa ulga szybko ustępuje miejsca wstydrawi. Niechęc do kobiety,

przed którą tak impulsywnie się odstąpiłam, pogłębia się proporcjonalnie do niezadowolenia z siebie. Jestem żalosna jak Dexter lamentujący z powodu rany w łapie, którą sam sobie wygryzł.

— Bardzo przepraszam — mówi pani Ska i mam wrażenie, że naprawdę prosi mnie o wybaczenie — ale musimy już kończyć, bo zaraz zaczynam następną sesję. — Można by ją uznać za atrakcyjną, gdyby nie kanciasta twarz i nadmierna chudość, którą zrecznie maskuje ubiorem.

Bez słowa, nie patrząc na nią, kładę pieniądze na stoliku.

— Miała pani nadpłatę — mówi pani Ska i podaje mi banknot pięćdziesięciózłotowy.